Lwów, 1. Marca. №26. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesieczna **40** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— połrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za nastep. po 1½ kr. i za dopłate 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

DZIWO-ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

XXI.

Przypatrując się zbliska temu zgodnemu pojednanych przyjaciół pożyciu, można było być pewnym, że zaród przeciwieństwa, jaki był w nich obydwóch, teraz już został całkiem pozbawionym swej mocy i że odtąd najpiękniejsze się dla nich otwierały nadzieje. Wszystko mówiło za tem. Kamil, nauczony mnogiemi doświadczeniami i poddający się teraz z pokorą wyrokom zdrowego rozsądku, gotów był do uczynienia mnogich koncessyi z swych dawnych przekonań, — Edmund, przeszedłszy świat i otarłszy się zbliska o wszystkie jego stronnictwa i partye, porzucił mnóstwo dawnych zdań i opinii, i stanowisko zapatrywania się na świat i ludzi rozszerzył o wiele po za horyzont ciasnych, kastowych czy koteryjnych widoków. Jeden swoje dawne teorye wielu koniecznemi względami określił, drugi swe przekonania od wielu niepotrzebnych względów uwolnił; tamten wichrowatemu duchowi swemu nadawał coraz więcej człowieczych kształtów, ten przez łuski zardzewiałego pancerza, w których zakute było jego serce, coraz swobodniejszego zaczerpywał oddechu. — I tak ten z ostatecznej lewej, ów z krańców oddalonej prawicy z miłością się przybliżali ku sobie a przez to i ku owemu środkowemu punktowi, któren jedynie jest mocen ogólnej myśli nieśmiertelne dać życie a pospolitej sile zbawczą dać równowagę. Inne zresztą uboczne względy, które z przeszłości obudwom przypominały się stronom, niknęły obustronnie przy harmonijnym odgłosie tak wielkich akordów, a czemu nie podołało dobre serce Edmunda, temu dała radę silna wola Kamila, gdzie upadała wiara, tam z ciężkim mieczem powstawał rozum, — a tak zorganizowana pomoc obustronna, oparta na wzajemnej ufności, codzień do nowych prowadziła ich zwycięztw nad sobą i codzień do piękniejszych dla dobra pospolitego zdobyczy.

Przypatrując się temu obrotowi dawnych spraw błędnych, nie pozostawało nic innego, jak tylko gorące zanieść modły do nieba, ażeby się ten stan rzeczy nie zmienił i aby tylko tak samo mogło iść dalej.

Ale czy takie modły mogły być wysłuchane ?... Jest to ważne i ciekawe pytanie, na które mogą odpowiedzieć tylko dalsze wypadki.

We dwa tygodnie po tem pięknem pojednaniu odrzuconych od siebie przyjaciół, Kamil oświadczył się formalnie o rękę Hani. Nowa przyjaźń Edmunda zdjęła mu wielki ciężar ze serca, ale przez to jeszcze nie ozdrowiła go z jego gorzkiej niemocy, z jego rospaczliwej czczości na sercu. Do ozdrowienia zupełnego potrzeba mu było jeszcze innego lekarstwa a to lekarstwo mogła mu podać tylko cnotliwa i pobożna córka Sieniawskich. Kamil się dobrego domyślał, był to bowiem jedyny dla niego środek, za pomocą którego mógł się powiązać z żywym i rzeczywistym światem. Nie czekał więc długo — i zrobił krok stanowczy.

Oświadczenie się jego oczewiście że zostało przyjętem. Oczewiście, ale przecież ani tak bardzo pochopnie, ani tak bardzo łakomie, jakby się to wydawać mogło tym, którzy w Hani nie widzieli nic innego, jak tylko podstarzałą już pannę i ubogą córkę starego archiwisty. Hania była przytem jeszcze czemś więcej a przy czystości skromnego serca, pan Bóg opatrzył ją jeszcze i umysłem, sięgającym o wiele dalej po za smutki starego panieństwa i umiejącym się podnosić nawet nad najżywsze pragnienia dawnemi laty utrwalonej miłości. Więc Hania przyjęła oświadczenie, ale wiedziała przy tem bardzo dobrze, co czyni. Poznała ona dobrze Kamila i rozpoznała jak najdokładniej różnicę pomiędzy nim, jakim był teraz i jakim był dawniej. Wszystkie jego wady leżały przed jej oczyma jak gdyby na dłoni: ani brak czystego, ludzkiego uczucia, ani jego skeptycyzm w rzeczach religii, ani jego schorowana wyobraźnia, ani jego rozdraźnienie nerwowe, ani rospaczliwe usposobienie umysłu, nie ukryło się przed jej badawczem okiem. A kiedy się nad temi wszystkiemi wadami zastanowiła, wielka w niej wzrosła wątpliwość, co jest lepsza: czy mąż z takiemi wadami, czy wiekuiste panieństwo? — Hania o tem naprzód wiedziała, że Kamil jej się oświadczy, i stąd miała dość czasu do zastanowienia się nad odpowiedzią. Nim się na tę odpowiedź zdobyła, zawziętą sama ze sobą stoczyła walkę a śród tej walki wiele miała chwil takich, w których jej wszystko mówiło za tem, ażeby oświadczenie odrzucić. Jeżeli-by Kamil został na zawsze przy swoich wadach, to ich pożycie musiało-by być najnieszczęśli-

wszem, a z tych wad go poprawić, zdawało jej się przechodzić jej siły. Żal ją wtedy porywał wielki i rzucała się wówczas na kolana przed Bogiem, błagając ze łzami o szczęśliwe natchnienie, ale przy takiej modlitwie tylko się jeszcze bardziej rostkliwiało jej serce a tkliwość przynosiła ze sobą uczucie dawnej miłości. I ta miłość, chociaż zapewne teraz o wiele ją ochłodziły lata i tak bliskie poznanie wszystkich zmian zaszłych w dawnym kochanku, zwyciężyła ją przecie nakoniec i wymogła na niej ostateczną odpowiedź. Hania przyjęła oświadczenie Kamila, ale przecież założyła jeden warunek a warunek był taki, ażeby ślub nie odbył się prędzej, jak za trzy miesiące. To się Kamilowi nie podobało, jak to zawsze warunki takie nie podobają się konkurentom, i sprzeciwiał się temu wszelkiemi siłami, — ale Hania była nieprzełamaną. Na wszystkie zarzuty odpowiadała tylko, że nigdy nie myślała iść za mąż a kiedy teraz ma się stać inaczej, nie może tak nagle wchodzić w nowe obowiąski, bez trzeźwego namysłu nad niemi, bez sumiennego przygotowania się do nich, bez uproszenia sobie u Boga, ażeby im wydołała, ażeby jej to posłużyło ku szczęściu na ziemi i ażeby zmiana stanu nie spowodowała zmiany w jej pobożności i ufności w Bogu, w którego rękach wszechmocnych spoczywają losy naszego życia doczesnego i naszej zagrobowej wieczności.

Kamil słuchał tych rzeczy jak żyd katechizmu, miotał się, niecierpliwił, rzucał cierpkie dowcipy a nawet szyderstwa, — ale nakoniec musiał przystać na wszystko. A wysapawszy się z gniewu, rozśmiał się z tego kaprysu Hani i kontent był z tego, że i tak się to stało.

Z tem ukontentowaniem poszedł wprost do Edmunda i na samym wstępie zaraz tą swoją pociechą z nim się podzielił. Na tak stanowczą, chociaż dawno już spodziewaną wiadomość Edmund zbladł jak ściana i chwycił się ręką poręczy fotelu, na którym siedział, — poczem trwało krótkie i bardzo zagadkowe dla Kamila milczenie. — Ale po chwili Edmund wstał, przeszedł się parę razy po salonie i powrócił jak najzupełniej do dawnej swojej obojętności.

Atoli Kamil z każdą chwilą tylko coraz bardziej się rozciekawiał nad owem nagłem zbladnieniem Edmunda, że aż na koniec go spytał:

— Widzę, że to moje oświadczenie się o rękę Hani niepospolicie cię zadziwiło, nie mógł-byś mi też powiedzieć, dla czego?

— Zadziwiło mnie? — rzekł Edmund na to najobojętniejszym głosem pod słońcem, — wcale nie. Cóż-by mnie to miało zadziwiać? wszakżeż mógłem się tego już dawno domyśleć.

— Ej! — zawołał Kamil, — nieprawdę ty mówisz, boś się zdziwił widocznie. Powiedz-że mi otwarcie, dla czego? czy widzisz jakie wady w Hani, na których ja się nie poznałem?

— Wady w Hani! — rzekł Edmund, — przyznam ci się, że nawet nie pojmuję, jak o nich wspominać możesz! Kobieta, która przechodzi ideały pod względem doskonałości moralnej! Wszakżeż, jeżeli się nie mylę, już ci to powiadałem, że to jest jedyny egzemplarz ze znanych mi kobiet, któremu niemam nic do zarzucenia. Takiej żony mogę ci tylko winszować i... chyba jeszcze tylko zazdrościć, bo już sam nie wiem, co zresztą.

— Hm! — mruknął na to Kamil, — a zdawało mi się inaczej.

— Ale proszę cię, mój Kamilu, — rzekł na to Edmund, przystępując do niego i biorąc go za obydwie ręce, — nie wzniecaj-że żadnych nowych podejrzliwości. Jeżeli chcesz, to ci się przyznam otwarcie, że poznawszy ją bliżej, nieraz miałem sam myśl starania się o nią, ale..... i to ci także przyznaję otwarcie, niemógłem jakoś dopuścić tego, żebym ja się żenił z jakąś archiwiścianką ze Sieniawszczyzny. Głupstwo to! powiesz, ale mów sobie co chcesz, u mnie to nie głupstwo. A że ty się z nią żenisz, mogę się tylko szczerze cieszyć i obojgu wam z serca winszować: a żebym wam dał tego dowód, proszę was, ażebyście mi pozwolili sprawić wam sute tutaj u mnie wesele.

— Dziękuję ci bardzo, — odpowiedział na to Kamil, ściskając obydwie ręce Edmunda, — ale na wesele długobyś czekać musiał, bo nie będzie aż za trzy miesiące.

— No! to wam sprawię zaręczyny i proszę cię bardzo, żebyście mi tego nie odmówili. Zabawimy się dobrze, ucieszymy się razem i ja.... sobie potem pojadę.

— Dokąd-że znowu?

— Tak, gdzieś w świat, do Paryża, Londynu, do Ameryki może, jeszcze tam nigdy nie byłem a warto przecież widzieć to wielkie państwo szewców i stolarzy. Ale o zaręczyny bardzo ciebie proszę.

— Ale dobrze, dobrze. Z największą chęcią i wdzięcznością....

— No więc kiedyż? dziś, jutro, pojutrze?

— Ha! tego jeszcze nie wiem, bo muszę się o to obradzić z Hanią a zresztą chciałbym i ojca sprowadzić na te gody, niech-by się staruszek także z nami ucieszył.

— Doskonale! — zawołał Edmund, — sprowadź ojca i tego tam Szłyka starego, i księdza Augustyna a jak chcesz, to ja ci i mego Burkę sprowadzę. Niechaj wszystko się cieszy, co jeszcze z nami ma jakiekolwiek relacye. Tylko długo się nie namyślaj, bo szkoda czasu.

Na drugi dzień wszystko już było ułożone a dzień zaręczyn oznaczony na przyszłą niedzielę. Kamil wysłał sztafetę do ojca i sztafetą odebrał szczere ojcowskie powinszowania wraz z obietnicą osobistego stawienia się. Wielka radość była przez cały tydzień w dworku starych Sieniawskich. Hania dostała od Kamila przepyszną suknię blondynową w podarunku z dodatkiem brylantowej kolii, kulczyków, brasoletek; pani Sieniawska z wielkiej radości

o mało co nie przejrzała a pan Dominik kazał prać białą chustkę i kamizelkę, dobył swój frak granatowy i powiesił go na szaragach, ażeby się fałdy w nim wyprostowały, a kiedy wziął swoje rajskie jabłka, przy zegarku wiszące, pod szczotkę, to wyglądały tak, jak gdyby były dopiero przed chwilą zerwane w Adamowym ogrodzie.

Przyszła nareszcie ta przez wszystkich a może i nie przez wszystkich, upragniona niedziela — i wszystko już było do tej fety gotowe, — tylko pan Bonawentura się trochę opóźnił. Południe już nadeszło i z coraz większą go wyglądano niecierpliwością, bo miał być obiad w pałacu Edmunda, zapowiedziany na godzinę drugą, — a jego wciąż jeszcze nie było. Kamil był w domku Sieniawskich i niecierpliwił się jak student, który ma jechać na ferye. — Ale przecież na koniec o pierwszej przybiegł ks. Augustyn, przynosząc tę radosną nowinę, że pan Bonawentura już jest w mieście, w pomieszkaniu Kamila, że już się ubiera i za lada chwilę przybędzie.

W pół godziny potem całe towarzystwo było już zgromadzone w wielkim salonie Edmundowego pałacu, i wyglądało bardzo poważnie i świetnie. Edmund i Kamil w eleganckich strojach najświeższej mody, z tą tylko pomiędzy sobą różnicą, iż Kamil jako Paryżanin, i cokolwiek korzenny elegant, był trochę więcej opięty i wcięty i miał na sobie potężną ilość bardzo misternych świecideł, — Edmund zaś, jako przyjaciel Anglików i na obszerniejszych wychowany salonach, miał wszystko na sobie po angielsku, dostatnie, wielkie, ciemne, kamienne guziki u koszuli i na czarnej wstążce zawieszony chronometr w kieszeni.

Pani Sieniawska była w sukni czerwonej, (kolor jej ulubiony,) i miała wielki, skrzydlaty czepiec na głowie, żółtemi wyczubiony wstążkami; Hania podług najświeższej mody, ale biorąc z tej mody więcej prostoty niż elegancyi; — tylko pan Dominik troszeczkę śmiesznością trącił w swoim ogoniastym, granatowym fraku ze stalowemi guzikami, w perłowych inexpresiblach i bótach palonych z węgierskiemi kutasikami. Ale za to bardzo przyzwoicie wyglądał pan Eligijusz i drugi jakiś organista z jezuickiego kościoła, a daleko jeszcze przyzwoiciej dwóch księży przyjaciół Edmunda, w czarnych, skromnych sutannach.

Wszystko to już siedziało po kanapach i fotelach, i wszystko to z wielką niecierpliwością spoglądało na drzwi, któremi miał wejść dotychczas jeszcze opóźniający się ojciec Kamila. Pomimo to jednak gwarzono wesoło, opowiadano cuda zagraniczne i swojskie, przypominano sobie dawne czasy i wyrokowano o nowych; tylko jeden Eligijusz siedział tuż obok Hani i szeptał jej jakieś świątobliwe rzeczy do ucha, ale na jego ustach mienił się ciągle jakiś uśmiech szyderczy a w jego oczach błyskał wzrok prawie szatański, którym częstokroć rzucał na gwarzącego wesoło Kamila.

Nareszcie przecie, równocześnie z uderzeniem godziny drugiej, otworzyły się drzwi poważnie i wszedł przez nie ojciec Kamila. Pan Bonawentura miał na sobie frak granatowy z długim, wąskim ogonem i stalowemi guzikami, perłowe inexpressible i buty palone z węgierskiemi kutasikami, oko w oko jak stary Sieniawski, ale co ważniejsza, sam pan Bonawentura, pomimo stroju, tak był uderzająco podobnym do starego archiwisty, że obaczywszy go, wszyscy okiem podziwu rzucili na niego, potem na archiwistę, a potem — osłupieli.

Kamil tylko jeden, mając głowę oszołomioną dzisiejszem szczęściem swojem, nic tego nie widział i przywitawszy z pośpiechem ojca, prowadził go pod ramię w sam środek towarzystwa. Pan Bonawentura, prowadzony przez syna, postępował powolnym krokiem, lecz gdy stanął oko w oko przed starym archiwistą, razem z wszystkiemi innemi osłupiał i w tem osłupieniu cofnął się krokiem w tył, wpijając swoje zadziwione oczy w ojca Hani, jak w sobowtóra. Nie mniej tem zadziwiony pan Dominik, także od niego odskoczył i także stanął osłupiały. — I stali tak obadwa przez chwilę, jak gdyby zamienieni w posągi, i otoczeni całem gronem równych sobie posągów.

Lecz po chwili ocucił się z tego osłupienia pierwszy ojciec Kamila, i wyciągnąwszy ręce ku archiwiście, drżącym głosem zawołał;

— To brat mój!

Szmer głośny rozległ się po całem zgromadzeniu — a tymczasem pan Dominik także już ocucony, odpowiedział:

— Ba, dobrze! ale kiedy bo ja niewiem, czy miałem brata?

— Jakto? nie miałeś? — zawołał ojciec Kamila, — nie urodziłeś się w wielkiem mieście? nie było dwóch nas u matki? nie rozesłano nas w świat pomiędzy obcych ludzi jeszcze małemi dziećmi?...

— A tak to coś, tak niby, rzekł stary Sieniawski.

— Ale tyś brat mój! — zawołał z uczuciem rzucając się na brata ojciec Kamila, — tyś brat mój! ja mam dla ciebie dwa tysiące dukatów!

— Mój bracie! zawołał na to, oddając uściski, stary archiwista.

— Ha! no! to chwała Bogu! — zawołał Kamil z radością, — będziem mieli dwoiste gody!

— Ba! dobrze, chwała Bogu, — rzekł na to ks. Augustyn, przybliżając się do Kamila, — ale bo teraz zaręczyny mieć miejsca nie mogą.

— Jakto! — zawołał bledniejąc Kamil, — a to czemu?

— Bo kiedy ojciec Hani jest rodzonym bratem twojego ojca, — mówił ks. Augustyn, — to ona jest tobie stryjeczno-rodzoną siostrą a w takim stopniu pokrewieństwa...

— Jakto! — zawołał szalonym głosem Kamil, wszyscy powtórnie wydali okrzyk zadziwienia, Eligijusz się po

szatańsku uśmiechnął a Kamil dodał: — To nic nie przeszkadza, bo gdzież są dowody!

— Ja już to dawno chciałem acaństwu dobrodziejstwu powiedzieć, — odezwał się w tej chwili słodziutkim głosem Eligijusz, — że właśnie w tych dniach prawie cudownym przypadkiem w bibliotece hrabi Edmunda dokumentne na fakt ten znalazłem dowody.

— Aha! dokumenta!? — zawołał Sieniawski, — prosimy o nie!

— W bibliotece Edmunda! — krzyknął Kamil i rzucił na niego piekielnym wzrokiem.

— No proszę, jeszcze i dokumenta! rzekł z kolei Sieniawski, — obaczemy je, obaczemy! żeby tylko nie podrobione! a znam się na tem cokolwiek.

— Ale głowę dam moją, że podrobione! — zawołał Kamil, a za te słowa Edmund mu znowu oddał wzrok także piekielny, ale zarazem i pogardliwy.

Tymczasem pan Eligijusz wyniósł ową znaną nam kronikę i otworzywszy od razu w potrzebnem miejscu, pokazał ją Sieniawskiemu, ale wszyscy ogromadziwszy się koło niego, poczęli wołać:

— Proszę nam czytać! potem będziemy oglądać!

Czytał tedy Eligijusz w głos ową notatkę dziada Edmunda, przestając co chwila i podając słuchaczom spososobność do namysłu i dokładnego zrozumienia. Za każdym takim przestankiem Kamil wołał z gniewem, uderzając drżącą ręką po książce:

— No i cóż z tego! gdzież tu dowód? to Sieniawski, to Łaski! zkąd tu jest braterstwo?

— Zaraz, zaraz, — odpowiedział Eligiusz, — proszę tylko o cierpliwość.

Hania drżała jak listek i to bladła, to czerwieniała, pani Sieniawska patrzała niewidomemi oczyma w książkę, Edmund słuchał z jakimś dziwnym wyrazem na bladej twarzy, a staruszkowie sobie pewtarzali:

— Proszę, proszę!

— Toć to podobno ten kasztelan!

— Hm! ja to zawsze mówiłem.

— Ale jak się zdaje, podobno *illegitimi tori*, — dodał ks. Augustyn, oddając Sieniawskiemu dopiero dzisiaj owo *illegitimi tori*, powiedziane przez niego przed trzynastu laty.

Aż gdy Eligiusz doszedł do ostatniego ustępu, czytał następujące słowa:

— «Ale przecie najgorszy sęk był w tem, że oddając te biedne sieroty za oczy, potrzeba im było podawać «nazwiska — a tu ani z ojca, ani z matki brać ich nie «było można. Łamiemy sobie tedy głowę, przeglądamy her«barze, katalogi i różne spisy, ale co które wybierzemy «nazwisko, to jedno złe a drugie nie dobre i zaraz jakiś «powód ważny, że go dawać nie można. Aż nareszcie o«dezwę się ja: — Ot! na co nam sobie mózg suszyć na«daremnie! porodzili się na Sieniawszczyźnie, niechże się «nazywają Sieniawscy. — Zgoda, zawołał na to kasztelan, «ale *cum restrictione*. Jeden tylko niech się nazywa Sie«niawski, bo-by się to gotowo zdradzić, a drugi niech się «już nazywa Łaski. I niechaj mi potem nie płaczą na to, «że dawszy życie, dałem im podłe nazwiska. Z takiemi «nazwiskami przy szczęściu a cnocie, nie zamkną im drzwi «nigdzie przed nosem. I tak się stało: jeden *nominatus* «Sieniawski a drugi Łaski, z czem ich nie czekając zaraz «wysłano w świat, jednego do Krakowa a drugiego zosta«wiono we Lwowie. Ale co się potem z niemi stało, już «mnie nie doszło.»

Kiedy Eligijusz skończył czytanie, Kamil, jak rozwścieklony tygrys rzucił się ku niemu, wydarł mu książkę z ręki, sam ją własnemi oczyma obejrzał, sam ostatnie jej słowa odczytał — i porwawszy się rospaczliwie obydwiema rękami za głowę, stał tak przez kilka sekund. Lecz niebawem się zerwał, rzucił takim piorunowym wzrokiem na Edmunda, jak gdyby go chciał zabić i podnosząc drżącą rękę ku niemu, zawołał:

— Wiem, czyja to sprawka! to tyś mi to zrobił! ty..

— Ale proszę cię, — rzekł na to Edmund, wpadając w gniew, lecz powstrzymując się zarazem.

— Nic mi już nie mów! — krzyknął na to z zapalczywością Kamil, tyś mi to zrobił, chciwy krwi mojej, magnacie! tyś tę jamę wykopał podemną!... Lecz powiedz, powiedz tutaj w obliczu całego świata, za co? za co ty tak krwawo, tak po szatańsku mścisz się nademną?.. arystokracya cię wiedzie!?... podeptać, zniszczyć, znicestwić człowieka, który wyszedł z niczego i głów waszych dosięgnął, to jest wasza dążność jedyna, to cnota wasza!

— Kamilu! — zawołał na to drżąc cały Edmund, nie bluźnij pijanemi rozpustą usty! Niczem byłeś i niczem jesteś do dziś dnia! *niczem* w obliczu tych, którzy mają cnoty swoje i cnoty całych pokoleń za sobą! niczem jesteś na zawsze i głowy ich nigdy dosięgnąć nie zdołasz! A zemsty żadnej we mnie nie wmawiaj, bom jej nigdy nie miał w myśli ni w czynie, i nie ja, i nie za twoją niedorzeczne zasady, ale Bóg się mści nad tobą za twoje osobiste występki!

— Za moje osobiste występki!? — wykrzyknął przeraźliwie Kamil, i ty mnie śmiesz tak potwarzać w oczy? ty masz tę bezczelność? a gdzież to są te moje występki!?

— Gdzie!? — krzyknął Edmund piorunowym głosem, nie mogąc się już nadal powstrzymać w swem oburzeniu i zawołał z cała wściekłością gniewu: A Jar pogański! ty synu pogański!

Te ostatnie wyrazy jak grom uderzyły w Kamila. — Stanął, wpatrzył się obłąkanemi oczyma w ziemię i zdawał się odchodzić od zmysłów, lecz w kilka sekund już

się ocucił, zerwał się z miejsca i jak szatan, wodą skropiony święconą, do drzwi się rzucił i zniknął.

Po tej scenie Kamil natychmiast wyjechał na wieś.

Hania zniosła ten cios okropny z cudowną prawie świątobliwością i anielską pokorą a wielkość jej cierpienia znać było tylko po ilości gorących modlitw.

Pan Bonawentura wysłał ks. Augustyna za synem a sam już na wieś nie wracał. Znalazłszy brata, którego nie znał przez całe życie, postanowił z nim resztę życia przepędzić i w nim szukać tej pociechy na starość, której niemógł znaleść w swym synie.

Edmund przez kilka dni następnych był smutniejszym niż zwykłe, ale dnia jednego, pochwyciwszy Eligijusza u siebie, złajał go za tę intrygę i precz od siebie wypędził, poczem wyspowiadawszy się sam przed sobą i znalazłszy swoje sumienie niepokalane jak zawsze, uspokoił się całkiem i stał się nawet daleko więcej wesołym i ożywionym, niż kiedykolwiek od czasu swego nieszczęśliwego rozejścia się z żoną.

Pani Sieniawska w parę tygodni potem umarła.

(D. c. n.)

Marzenny wianek.

(Wykradzione młodej dziewczynce.)

Jak każdy kwiatek swój ma poranek
Tak dziewczę każde marzenny wianek,
Poranek kwiatu rosą spłókany
Dziewczęcia wianek łzami oblany.
A czemu płacze wonny poranek?
I czemu dziewczę łzą skrapia wianek?
O! ja odpowiem, bom ja widziała
Jak ranki świeża rosa skrapiała;
O! ja odpowiem słowy a łzami
Za niedościgłych marzeń kwiatami.

Kwiat, zanim z pączku listki wychyli,
Zanim się oczom ludzi rozmili,
To naprzód płacze rosy czystemi
Że nadto piękny ludziom i ziemi.
Młoda dziewczyna w rodzinnej chacie
W swojej duchowej, nadobnej szacie
W koło marzenia swoje rozpina
Wątłe i ciągłe jak pajęczyna.
I w takie śliczne przystraja siatki
Wszystkie kąciki rodzinnej chatki,
Tak z pełną wiarą ona je przędzie
Że siatka marzeń wiecznie trwać będzie.

A czy wy wiecie, co to marzenie?
Co to dziewicze duszy tęsknienie?
I jak tam błogo, kiedy marząco?
I jak tam smutno, kiedy płacząco?
O! wy nie wiecie, nie rozumiecie
Kiedy te cudne siatki psujecie.
A raz stargana nitka marzenia
Zmienia się w długie pasmo cierpienia.
O! i czyż jeszcze dziwić was będzie
Że na jej czoło smutek zasiędzie?
I że łzą skropi marzenny wianek
Jak świeża rosa wonny poranek?

Płyńcie a płyńcie wy łezki moje!
Płakać, to lżej mi — marzyć się boję —
Bo na marzenia strunach starganych
Ja nie odszukam dźwięków kochanych,
Tych, co z wierzącej duszy płynęły
A dziś już ścichły — dziś już stanęły;
Ja tylko pragnę spocząć po burzy,
I śpiewać, kiedy pieśń żalom wtórzy —
I kochać, kiedy w sercu gorąco,
Kochać, choć w duszy jakoś boląco —
Kochać, a piosnkę smutną zawodzić
Śpiewać, a w oczach z łezkami chodzić.

....a——a.

Wyjątek z rękopisu

pod napisem: **Powieściarstwo polskie.**

(Dokończenie.)

Z mniejszym zapasem historycznych wiadomości, ale z siłą twórczą, z talentem zapatrywał się Dominik Magnuszewski na przeszłość. Dość mu było pobieżnych napomknień, dość urywkowych szczegółów, aby jak kluczem otwierał groby szczelnie zamknięte i siłą wyobraźności skupiał w całość pyły rozpadłe, uzupełniał części brakujące. Miał on nieustannie na oku współczesne potrzeby literatury i społeczeństwa, a uwodzony celami takiemi, przetapiając gorącością wewnętrznego ognia, ułomki przeszłości, zamiast wskrzeszenia, stwarzał. W ten sposób mogło się zdarzyć, iż myśli własne podsuwał historyi, ale nadawał im ciała tak odpowiednie, tak wynikłe, tak zgodne z całością utworu swojego: iż historya w danym okresie niemogłaby wyrazić tych myśli w innej powłoce zmysłowej. Siła umnictwa jego zasadzała się na tem iż przenikał istotę tworzenia, znał jego prawa. Więc chociaż stwarzał nie to, co rzeczywistość, tak samo jednak jak rzeczywistość. W tej twórczej potędze spoczywało także źródło głównych jego błędów, bo uważając fakta historyczne za pojedyńcze trzcionki, które dopiero w połączeniu z innemi, dopiero odnośnie do przeznaczenia ludzkości i powołania narodu, składały wyraz, nabierały pewnego znaczenia: starał się, to znaczenie z danych wypadków, jakby z milczą-

cego sfinxa, rozwiązać i wytłumaczyć, niezapominając wszelako życzeń i potrzeb terazniejszości. Więc dobywając z trumien ludzi i zdarzenia, stawiał je jakby w ogniu bengalskim w świetle wieku swojego. Pojmowanie historyi jako organicznej całości wynosiło go w prawdzie nad autora Listopadu, który filozofij dziejów pojąć nie może; ale czyniło zarazem w przedstawieniu pewnych chwil dziejowych nieraz zawisłym od uprzedzeń, nie raz stronniczym. Sprawy ludzkie chociaż wydają się przypadkowe, dowolne, gwałtowne, mają jednak zawsze pewną filozoficzną podstawę. Ale opatrzność dopinając zamiarów swoich zmienia ustawicznie środki według narzędzi. Każda doba dziejowa ma swoją filozofię, źle jest zatem filozofią wieku jednego uważać za pobudkę działań we wszystkich wiekach. Błąd ten miał jednak w utworach Magnuszewskiego swój powab, bo w ręku jego nieprawdy historyczne stawały się artystycznemi prawdami. Przestrzeń przeszłości zdawała się niejako rozdymać ażeby w łonie swojem pomieścić jeden wypadek więcej. Artysta był urodzonym artystą, filozof byłby się udoskonalił przez naukę i głębsze zbadanie historyi. Przeto utraciliśmy w Magnuszewskim pisarza wielkich nadziei. Słusznie zarzucić by mu można iż poświęcając całą staranność ideom, które wcielał, niedbał o połysk zewnętrzny, zaniedbywał powierzchownych ozdób. Powieściom jego (wyjąwszy *Herbatę*) brakuje powabów ujemnych, dla tego niepodobają się sądzącym z pozorów, i Michał Grabowski ocenia je ozięble. W opisach miejscowości chybiał Magnuszewski nie raz przez zbytnie uczłowieczanie rzeczy, przez ożywianie martwych lub nieświadomych siebie przedmiotów, a zatem niegodnych uczuć i myśli. Jestto w sztuce jego część podrzędna. Głównie zajmowała go treść, duch dążności. Nieprzeczę iż w dobrej powieści jedno i drugie wymaga równie troskliwego obrobienia; jednakowoż dzieło natchnione wyższym talentem, jeżeli powierzchownościami zraża, wymaga baczniejszej uwagi, aby zapoznanem nie było. Powieści Magnuszewskiego mają nierównie wyższą wartość istotną od wielu z tych które Grabowski uwielbia dla tego, iż opisują dokładnie okolice, iż są gładkiem i świecącem zwierciadłem pewnych miejscowości. Czuję ja także niepospolity urok tych przymiotów, ale wszelako mam za błąd jeżeli środki, któremi sztuka dopina swoich zamierzeń brane są za zamierzania sztuki. Magnuszewski był na drodze wyrobienia dla sztuki nowych, niezwykłych środków. *Zemsta panny Urszuli* (1835), *Niewiasta w trzech wiekach* drukowana w Poznaniu 1843., lecz na kilka lat przed tem w tece spoczywająca, są to idey czy historyczne, czy historyi narzucone ale objawione w jednolitych odlewach, zadziwiających ścisłością modły. Pomysł przedstawienia niewiasty polskiej w różnych epokach życia narodowego godzien był zaiste pędzla znakomitego artysty. Wyznaję, iż Maguszewski pomimo całego talentu nie podołał temu zadaniu. Alež go sam sobie utrudnił, usiłując pojęcie zbiorowe niewiasty przywiązać do pewnych przez dzieje wspomnionych nazwisk. Gdyby był odpowiednio do wyobrażeń nabytych z historyi o płci pięknej u nas porobił przedstawicielkami jej w różnych wiekach utwory własnego wymysłu, to talent jego, mając swobodniejszy okres działania znalazłby może sposób pogodzenia dążności swoich z historyą. W takim razie powieść jego bez osób historycznych byłaby jednak historyczniejszą od niejednej, która sobie to szumne nazwanie przywłaszcza dla nazwisk wyjętych z historyi. Przypuściwszy nawet, iż obrazy niewiast polskich z trzech różnych wieków jak je Magnuszewski przedstawił, są wydobyte z historyi, to jednak historya nieześrodkowała je nigdzie w jednej osobie, tylko wyraziła może rozrzucenie w różnych postaciach; trzebaż było artyście te porozrzucane rysy skupić w jedną całość własnego utworu, przez co historya stałaby się wybitniejszą i uniknąłby trudności naciągania historyi do idey lub ścieśniania idey dla historyi.

Magnuszewski niedoszedł w sztuce do tego stopnia aby się dla historyi umiał zaprzeć i zapomnieć; przeto daleki jestem od tego, aby go stawiać za wzór obrabiania żywiołu historycznego w powieści. Upatruję w pracach jego talent silny, któremu brakło czasu do wyrobienia, i oznaczam niemi ważną chwilę w powieściarstwie naszem, łączenia się umnictwa z historją.

Listy z podróży.

I.

(Dokończenie.)

Rozpisawszy się o ulicach jeszcze raz winienem należny hołd złożyć Lwowowi. Dzięki płytom Trembowelskim a raczej wydziałowi miejskiemu, który się o nie postarał, ma Lwów tak wyborne chodniki że lepszemi chyba jeden Paryż poszczycić się może. O doskonalszych niż paryskie nawet marzyć nie podobna; bo to i zupełnie równe, a jednak nie śliskie i nadzwyczaj trwałe. Nigdzie nie dostrzeżesz ani skazy, ani śladu psucia się, lub naprawy, chociaż półmiliona ludzi, bo tyle przynajmniej jest w Paryżu nieustannie na bruku, ciągle je wydeptuje. Wnoszę z tego, bo innych dat nie mam, żejeżeli nie sa niespożyte, to przynajmniej trwalsze i wygodniejsze od kamiennych. Przypominam sobie że i we Lwowie zaczęto tą samą masą (asfaltem, żywicą ziemną) wykładać plac św.Ducha. Niewiadomo mi dla czego odstąpiono od tego przedsięwzięcia, tyle jednak pamiętam, iż żywica owa w wielkie upały miękła, a nawet lgnęła do podeszwy przechodzących. Nie wątpliwą jest przeto rzeczą, że nie umiano jej przyprawić należycie. Jeżeli więc z tej jedynie przyczyny pozbawiony jest Lwów chodników paryskich, jeżeli w Galicyi jest tyle żywicy ziemnej, iż jej do tego celu użycie niebyłoby daleko kosztowniejsze od płyt Trembowelskich, to nie należałoby poprzestać na doświadczeniu, które lubo się nie udało, przecież skoro tylko będzie należycie wykonane, koniecznie powieść się musi. Użycie tejże żywicy do wykładania sieni, podwórza, nawet posadzki i toku może by dało się zastósować, a chętnie mogę służyć każdemu za pośrednika, ktoby się o przyrządzeniu tej masy dowiedzieć chciał.

Nim wstąpimy z ulic do domów, nie mogę minąć postrzeżenia, które każdego za granicą powinno uderzyć, t. j. że nigdzie nie widać tyle lubowników, tyle lubowniczek rozlicznych gatunków psów co we Lwowie. Można wprawdzie i gdzieindziej spotkać pieska prowadzonego na łańcuszku, a w zimie nawet modnie wystrojonego; przecież są to tylko rzadkie wypadki. Okoliczność ta, lubo na pozór błaha, przecież wiele dowodzi. A najprzód jest to znakiem, że u nas wiele osób zajmuje się dokładnie zbadaniem tego gatunku zwierząt czyli kinologią; powtóre, że mamy chleba pod dostatkiem kiedy tyle zwierząt karmić możemy; a nareszcie że nie jesteśmy w tym stopniu materyalni, co narody zachodnie, które tylko owe zwierzęta pielęgnują, które im jakąś korzyść przynoszą... I tak nawet psy za granicą ciężko na chleb zarabiać muszą. Nie tylko w miastach niemieckich, ale nawet w Poznaniu upowszechniony jest zwyczaj, używania psów do pociągu. Podczas że wasze mleczarki lub przekupki jarzyny, dźwigają swój towar na plecach, a psy biegają rozkosznie po ulicach miasta lub wsi, ładują tu podobny towar na wózek na którym jeszcze niemowlę, którego w domu zostawić nie można było, jedzie, zaprzęgają jednego lub więcej psów i dalej do miasta. Wierne to zwierzę jest oraz stróżem ładunku, jeżeli kupcowej oddalić się gdzie wypadnie. Że jeden pies z łatwością i ochoczo tyle uwiezie co człowiekowi z trudnością przypadałoby na barkach dźwigać, o tem się każden przekonać może. Jednakowo nie jeden u nas litowałby się bardzo nad takim zaprzężonym pieskiem, dlatego ten zwyczaj nie łatwo się upowszechni, tego jestem pewny. A przecież rasa naszych psów wcale jest dorodna, i mamy ich dosyć, gdy tymczasem wielki brak siły ludzkiej każdemu jest znany.

Bardzo wiele marnuje się też u nas siły końskiej a przeto i owsa, którymby niejeden biedak wyżywić się mógł. Podobno w jednym tylko jeszcze Lwowie wszystkie dorożki, czyli tak zwane fiakry są dwukonne, wszędzie indziej są jednokonne. Chcąc to marnotrawstwo usprawiedliwić należałoby dowieść, że albo mieszkańcy Lwowa, są to jakieś wielkoludy, albo, że ich konie są to małoszkapki. I za granicą są osoby których dostojeństwa rzeczywistego lub urojonego jeden rumak unieść nie zdoła. Ci zaprzęgają jedną, lub więcej par koni do pojazdu, lecz aby przewieźć jednego lub kilku zwyczajnych lekkoduchów, choćby nawet z tłumoczkami, najniezawodniej dostateczna jest jedna szkapa, o czem się łatwo każden przekonać może, i nigdzie też pewnie za granicą koń dorożkarza, wiozący Lwowianina w drodze nie ustał. Że zaś wszędzie konie dorożkarskie lepiej wyglądają, a nawet często jak gdyby na rzeź utuczone wydają się, jest prawdą, lecz to nie stanowi rasy lepszej. Staranne pielęgnowanie konia jest bezwątpienia w interesie woźnicy. Zwierzę zanędzniałe z pewnością więcej potrzebuje paszy i mniej ma siły niż zdrowe i dobrze wyglądające. Że zaś wydatek na obrok tak drogi, na jednego konia o połowę jest mniejszy, niżli na parę, to rzecz jest jasna.

W całej Francyi nietylko jazda jednokonką jest upowszechniona ale nadto włościanie, mieszczanie, brykarze i t. p. używają wozów o dwu tylko kołach. Łatwo dowieść matematycznie, a nawet praktycznie za pomocą małego przyrządu i wag, że tym jedynie sposobem nie tylko z siły końskiej nic uronionego nie zostaje, lecz i nawet nałożony ciężar, jeżeli jest przechylony na tył wozu popychać go musi. Nie wiem wprawdzie ile kilogramów przy tym zaprzęgu jednego konia liczą, tyle jednak zaręczyć mogę, iż te wszystkie drwa co nasi włościanie na czterech furkach przywożą, Francuz zabrałby na swoje dwa koła i jednego konia. Ileżto oszczędności w każdym względzie z jednej strony, a co za marnotrawstwo z drugiej.

Powie mi kto: lecz zkąd wziąć takich koni? Rzeczywiście miło patrzeć na te zwierzęta, lecz możnaby zapytać: czy też właśnie sposób zaprzęgu nie wykształca takich koni? Wiadomo że ludzie krępi jakiemi są pospolicie kowale, kotlarze, i t. p. nie stanowią osobnej rasy, lecz że przez kształcenie sił fizycznych nabywają budowy ciała krępej, przysadkowatej. Otóż konie o których mówię nie są ani zbyt rosłe, ani też długie, lecz krępe, co jak mi się wydaje z tąd pochodzić może, że koń taki nie tylko barkami naprzód ciągnie, ale i tylną częścią wóz wstrzymuje i wstecz często popycha a prócz tego grzbietem i piersiami ustawicznie dźwiga. We wszystkich przeto kierunkach siły jego wyrabiać się, a budowa ciała wykształcać się musi. Ktoby chciał zarzucić, że nie wszędzie i nie do wszystkiego podobnych wozów użyć można, łatwo się przekonać może, że snopy, siano, drwa i kamienie po takich samych drogach wiejskich jak nasze Francuzi wożą. A. Ł.

Rozmaitość.

* Właśnie gdy toczy się spór o sposoby podźwignienia rolnictwa w Galicyi, gdy z jednej strony pióro, szlachetnemi pobudkami kierowane, narzeka na obojętność większej połowy członków towarzystwa gospodarskiego, nieuiszczających się z rocznych 12reńskowych rat, a gorliwością obywatelską uniesione przemawia za nadto może gorzkiemi słowami, ale zawsze słowami prawdy, z drugiej strony pióro dowcipne, przeszydza całe towarzystwo gospodarskie i obrzuca chęć dźwignienia rolnictwa w kraju śmiesznością, otoż właśnie w tej chwili toczących się sporów między właścicielami dóbr, agronomami galicyjskiemi, umiera syn włościanina z Dzikowca, obwodu rzeszowskiego i zapisuje na cele rolnicze w kraju, największą oszczędnością przez kilkadziesiąt lat życia zebrany majątek. *Jan Maciąg*, pensyonowany urzędnik pocztowy, zmarły pozawczoraj we Lwowie, zapisał 20,000 złr. m. k. towarzystwom agronomicznym w Galicyi, połowę lwowskiemu, a połowę krakowskiemu, z obowiązkiem urządzenia z dochodów od tego kapitału po dwa stypendia (razem więc czterech) dla młodzieży przy szkołach agronomicznych w Galicyi kształcącej się. Wykonawcą testamentu mianował adwokata krajowego, Dr. Kabata, a kuratorem fundacyi z obowiązkiem mianowania następcy, adwokata krajowego Dr. Smolkę. Gdyby szkoły agronomiczne nie przyszły do skutku, wtedy kurator ma zmodyfikować zapis, i przeznaczyć procenta na inne cele, zawsze jednak na cele zmierzające do podniesienia wyższych wiadomości rolniczych w Galicyi. Pierwszeństwo do stypendyów będą mieli synowie włościan, i to najpierw synowie krewnych fundatora z Dzikowca. Dopiero w braku synów włościańskich urodzonych w Galicyi i innym polakom służy prawo do stypendyjów. Oprócz tego zapisał krewnym swym w Dzikowcu na 24ry głów po 600 złr. na każdą i uczynił fundancyą na szkołę w rodzinnej swej wiosce w Dzikowcu. Bliższe szczegóły ogłosimy w następnym numerze.

* *Amerykanin w Petersburgu* szedł ulicą właśnie, gdy śnieg topnieć począł. Rozciecz była wielka, kałuży nieprzebytych wszędzie mnóstwo. Jedynie wąska ścieżynka wiodła w jednym miejscu pomiędzy te tonie. W tem Amerykanin właśnie tam zdybuje Wielkiego Księcia Konstantego, idącego wraz z adjutantem w ubiorze cywilnym; Amerykanowi nie chciało się ustąpić i wleść w kałużę, a nie chciał też i Wielkiego księcia spychać z ścieżki. Cóż więc czyni? Sięga do kieszeni, wyjmuje garść monet i pyta naprzeciw idącego: *Parzyste czy nie*? (Cet czy liszka?) *Do pary*, odparł Wielki Książę. — Ha! wygrałeś pan, a ja się panu ustąpię, rzekł Amerykanin, i wlazł powyżej kolan w kałużę. Nazajutrz zaproszono go na objad do Dworu.

* **Od wydawcy**. Pan Józef Dzierzkowski odbiera listy w sprawie redakcyi Nowin do niego adresowane. Na wezwanie jego oświadczamy więc piszącym, iż pan Józef Dzierzkowski do redakcyi Nowin z początku istnienia tego pisma nie należał i nie należy. Korespondencye pisma tego tyczące się, adresowane być mogą albo do *redakcyi Nowin*, albo pod cyfrą *J. D.* w redakcyi Nowin.

* W sprawozdaniu z przedostatniego wystąpienia pani Rywackiej czynimy to sprostowanie, że odśpiewany mazurek nie był «Tyś niewierna» ale inny, którego atoli nazwy nie wiemy; również jedna z odśpiewankch aryj była z opery Lombardi.

Sprostowanie omyłek w poezyi Pielgrzym na Wawelu, w Numerze 22. Nowin, str. 188.

Przedziałka 1. wiersz 14. od dołu, zamiast póruje, czytaj: *góruje.*
» 2. » 17. « « » za grzechy, czytaj *w pobliżu.*

Przedziałka 2. wiersz 5. od dołu, wypuszczone 2. wiersze następujące:

Ta go roskosz nie ocuci,
I z obawą ze wzruszeniem.

* Do dzisiejszego Nru dołączonych jest po dwie rycin mód dla abonentów mód.

Przyjechali od dnia 26. do 28. Lutego do Lwowa.

PP. Strzelecki Bronisław, z Zarwanicy. Winicki Ludwik z Wierzbicy. Nowosielski Ludwik, z Nawry. Krasicki Aleksander hr, z Dubiecka. Nahojowski Antoni, z Grodka. Kłodziński Adam, z Parchacza. Mysłowski Antoni, z Kłodowa. Cielecki Włodzimierz, z Kłodowa. Kunaszewski Władysław z Kutyszcz.

PP. Serwatowski Wojciech. z Bucniowa. Janiszewski Ignacy, z Żurawna. Wierzbicki Julian, z Kutkorza. Lityński Wenant, z Litwinowa. Drohojowski Józef hr., z Balicy. Kotkowski Apolinary z Hawłowic. Koziebrodzki Adam hr., z Krakowa. Małachowski, z Rokitna.

Wyjechali dnia 26. do 28. Lutego ze Lwowa:

PP. Bogdanowicz Aleksander, do Przemiłowki. Papara Antoni, do Batiatycz. Stecki Adolf, do Srodopolec. Czermiński Ludwik, do Żółkwi. Wojczyński Alfred, do Tuligłów. Duniewicz Edward, do Nowoszyc. Onyszkiewicz Rudolf, do Lisiatycz. Strzelecki Aleksander, do Tarnopola. Komarnicki Jan, do Magierowa.

PP. Jaruntowski Jan, do Hermanowic. Gottleb Antoni do Liwcza. Żukowski Józef, do Polski. Korzeniowski Aleksander do Machnowa. Dzieduszycki Juliusz hr., do Jarczowic. Komarnicki Bolesław do Jackowic.

Lwów 28. Lutego. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 37 złr. 30 kr. do 38 złr. 10 kr. — Żyta po — złr. — kr. do 25 złr. 15 kr. Jeczmienia po — złr. — kr. do 25 złr. 30 kr. Owsa po 19 złr. — kr. do 20 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr. do 30 złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po 12 złr. 30 do 13 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 38 złr. 45 kr. do 40 złr. — kr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. w.w. Cetnar siana 5 złr. — kr. do 5 złr. 8 kr. Centnar słomy 3 złr. 8 kr. do 3 złr. 20 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 15 kr. do 4 złr. 22 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 28. b. m. o g. 2. po połud

Augsburg za 100 złr.	$128\frac{1}{2}$	Pożyczka 5% $81\frac{9}{16}$ $4\frac{1}{2}$	—
Hamburg za 100 tal. banco	$94\frac{1}{4}$	Akcye banku	991
Londyn za 1 funt szterl.,	12 27	Kolej północna	1860
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind.	—
Paryż za 300 franków	$149\frac{5}{8}$	Nowa pożyczka z loteryą	$107\frac{1}{8}$
Agio duk. ces.	—	Pożyczka narodowa	$85\frac{5}{8}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

Dukat holenderski	złr.	5	kr.	55	złr.	5	kr.	58
Dukat cesarski	«	6	»	—	»	6	«	3
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	19	»	10	«	24
Rubel srebrny rosyjski	»	2	«	—	«	2	»	1
Talar pruski	»	1	«	56	»	1	«	57
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	26	»	1	«	27
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	91	«	45	»	92	«	30
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		75	»	—	»	75	»	30
5 proc. pożyczka narodowa		85	»	—	»	86	«	—

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**